

Krzysztof Potaczała

---

# BIESZCZADY

---

*Śladami ludzi i miejsc*

**BOSZ**



Krzysztof Potaczała

---

# BIESZCZADY

---

*Śladami ludzi i miejsc*

Olszanica 2024

**BoSz**<sup>®</sup>

Wydawca

Wydawnictwo BoSz

BoSz Szymanik i wspólnicy sp. jawna

38-722 Olszanica

Biuro: ul. Przemysłowa 14, 38-600 Lesko

tel. +48 13 469 90 00, fax +48 13 469 61 88

e-mail: [biuro@bosz.com.pl](mailto:biuro@bosz.com.pl)

[www.bosz.com.pl](http://www.bosz.com.pl)

## Spis treści

<b>I. Rozpoznawanie wroga</b> . . . . .	7
1. Płacz i śmiech . . . . .	9
2. Wśród zielska opuszczonej wsi . . . . .	26
3. Kto się boi Ukraińca? . . . . .	62
4. Chmury nad cichociemnym. . . . .	77
5. Jak podejść dewizowca? . . . . .	90
<b>II. Podeptane sacrum</b> . . . . .	107
6. W ruinie i z ruin . . . . .	109
7. Jezioro bezimiennych kości . . . . .	139
8. Milczące dzwony . . . . .	164
9. Królowa na ołtarzu. . . . .	178
10. Odkopywanie przeszłości . . . . .	189
Bibliografia . . . . .	204
Nota redakcyjna . . . . .	207

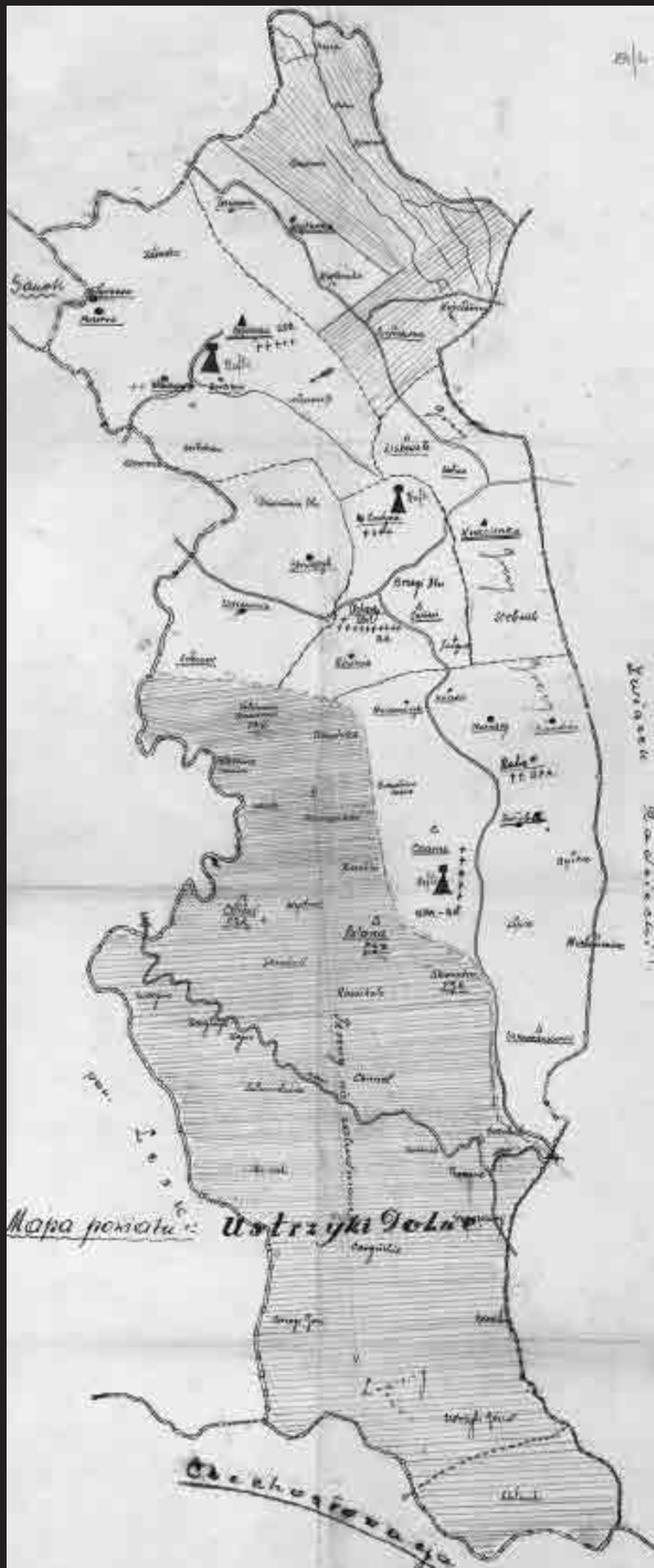
Niniejsza książka jest zbiorem tekstów z pogranicza historii i współczesności. Powstały na podstawie rozmów przeprowadzonych z dawnymi i obecnymi mieszkańcami Bieszczadów, są też częściowo oparte na badaniach własnych autora w archiwach państwowych. Powtarzającym się w wielu z nich motywem są cytowane bądź omawiane fragmenty raportów Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Służby Bezpieczeństwa oraz tajnych współpracowników i kontaktów operacyjnych – ludzi, którzy w zamian za gratyfikacje rzeczowe (np. koniak, szynkę, bombonierkę) bądź za pieniądze donosili na sąsiadów, kolegów z pracy, a nawet krewnych. Na cywilów i duchownych, na mężczyzn i kobiety, na Polaków i Ukraińców.

Materiały będące treścią źródłową książki zbierane były w różnych latach i dotyczą wielorakich aspektów życia w Bieszczadach w okresie od powojnia do czasów obecnych. To między innymi dlatego niektóre rozdziały różnią się od siebie stylem i narracją. Książka została podzielona na dwa bloki tematyczne. Pierwszy ukazuje peerelowską codzienność w Bieszczadach – głównie w aspekcie społeczno-politycznym, ale i z niemałą domieszką przygody. Drugi przedstawia szeroko pojęty obszar sacrum i profanum: grabieże i burzenie cerkwi, próby ich ratowania, odkrywanie po dziesiątkach lat zakopanych dzwonów, a także przypadki bezczeszczenia unickich cmentarzy czy też odślanianych przypadkiem – jak w rejonie Zalewu Solińskiego – ludzkich szczątków.

Nie brak w prezentowanych tekstach pewnej dozy poezji i tajemniczości. Nie brak też trudnych doświadczeń konkretnych osób, w tym skomplikowanych relacji polsko-ukraińskich. Autor podaje przykłady porażającej niepamięci, ale też wyrazistej indywidualnej pamięci, dzięki której udało się ocalić od zapomnienia ważne historycznie wydarzenia. Podąża śladami ludzi i miejsc, by głębiej poznać interesujące go zagadnienia, lepiej je zrozumieć i spróbować odpowiedzieć na nurtujące wciąż pytania: dlaczego, po co, z jakich przyczyn, na czyje zlecenie?

Bieszczady wciąż zmuszają do refleksji.

# Rozpoznawanie wroga



Mapa powiatu ustrzyckiego sporządzona przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Czarnymi krzyżykami zaznaczono na niej miejscowości, w których mogą mieszkać „elementy szczególnie niebezpieczne i wrogie Polsce”  
▪ archiwum IPN, oddział w Rzeszowie



## Płacz i śmiech

– Umarł? No, to niech mu ziemia lekką nie będzie – te słowa wypowiedział publicznie robotnik Kopalnictwa Naftowego w Ustrzykach Dolnych na wieść o śmierci Józefa Stalina. Informację podano przez radio. W tym samym momencie postawiono w stan podwyższonej gotowości wszystkie służby Polski Ludowej.

Odręczną mapkę sporządzono zapewne w 1953 roku, z pewnością jednak na podstawie mapy profesjonalnej, być może wojskowej. Przedstawia obszar i miejscowości powiatu ustrzyckiego. Autor nie zaznaczył wszystkich, a jedynie te, które uznał za ważne w pracy operacyjnej. Na neutralnym tle umieścił wioski zamieszkałe, na wyróżnionym poziomymi kreskami – niezaludnione, opustoszałe po wysiedleniach autochtonów w latach 1946–1951 i wciąż (w pewnej części) puste.

Uwagę zwracają dwie miejscowości: Szewczenko (obecne Lutowiska) i Brzegi Górne. Pierwsza wciąż miała nazwę nadaną w 1944 roku przez Sowieców. Do pierwotnej wróciły Lutowiska w 1957 roku, choć jeszcze przez kilka lat listy adresowane do mieszkańców dawnego miasteczka przychodziły adresowane na obydwie – polską lub radziecką. Nazwa drugiej wsi na rysunku została spolszczona, choć ciągle w oficjalnych dokumentach i na tablicach drogowych były to Berehy Górne (korektę wprowadzono dopiero w 1968 roku). Ktoś, kto kreślił ten szkic, albo sam nie mógł znieść rdzennego, ruskiego określenia wioski, albo wykonał polecenie przełożonego, który kazał mu wprowadzić tę zmianę. Stało się to na piętnaście lat przed oficjalną korektą, przeprowadzoną decyzją urzędową i wpisaną do rejestrów krajowych.

Zakresowany teren na mapie oznacza miejscowości wolne od osadnictwa. To nie do końca prawda, bo w tym czasie w Stuposianach, Polanie czy

Ustrzykach Górnych mieszkali ludzie. Chyba że szkic powstał jeszcze w 1951 roku, ale to mało prawdopodobne, bo Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Ustrzykach Dolnych dopiero się instalował. Tak czy inaczej, krzyżyki umieszczono przy wsiach, co do których miano podejrzenie (lub nawet pewność), że mieszkają w nich Ukraińcy powiązani do niedawna z Ukraińską Powstańczą Armią, a także Polacy związani kiedyś z Armią Krajową. Dla UB jedni i drudzy byli podejrzewani o działalność wywrotową, określani „elementem niepewnym”, który powinien być pod nieustanną kontrolą.

Kiedy przez zakładowe radiowęzły i w Polskim Radio podano wiadomość o śmierci Stalina, a nazajutrz prasa na okładkach umieściła jego portret i żałobny pean, niemal natychmiast objęto obserwacją i inwigilacją pracowników pegeerów, spółdzielni produkcyjnych, kopalnictwa naftowego, a także kilku przedsiębiorstw budowlanych, rolno-przemysłowych i transportowych.

W powiecie ustrzyckim do akcji zaangażowano kilkudziesięciu tajnych współpracowników i tyleż samo kontaktów operacyjnych. Jednocześnie wzmocniono patrole milicyjne i ormowskie w wioskach oraz w samych Ustrzykach Dolnych. Każda knajpa, skwer, szkoła i zakład znalazły się pod



Pomnik Józefa Stalina w południowej części rynku w Ustrzykach Dolnych, 1953 rok. Z tyłu nieporośnięte jeszcze lasem wzniesienie Gromadzyna ■ fot. Ryszard Bielawski, archiwum Krzysztofa Potaczały

lupą bezpieki, a przy tkwiącym w miejskim parku pomniku przywódcy Kraju Rad wystawiono strażę, które zmieniały się co parę godzin. Jedni przychodzili składać tu kwiaty przewiązane czarnymi wstążkami, inni tylko popatrzeć. Z Leska i Sanoka przybyły z wieńcami oficjalne delegacje partyjne, a dzieci z ustrzyckiej podstawówki zostały poprowadzone przez nauczycieli przed pomnik i uczciły pamięć wodza.

Człowiek, którego odlew w brązie stał od połowy lat czterdziestych w centralnym punkcie miasta, już nic nie mógł, lecz jego duch ciągle unosił się w dolinie Strwiąża. Władza obawiała się aktów sabotażu zwłaszcza ze strony przesiedleńców zza Buga. To oni „zawdzięczali” Stalinowi przeprowadzkę w Bieszczady i nie chcieli o tym zapomnieć. W raportach bezpieki z tamtego okresu parokrotnie pojawiają się stwierdzenia, że być może Zabuzanie zechcą się odgrywać za swoje krzywdy. Ale też takie, że mają oni nadzieję na powrót do rodzinnych stron. Była to nadzieja naiwna: Sokalszczyzna od dwóch lat należała do ZSRR i nikt w rządzie – ani polskim, ani tym bardziej sowieckim – nie brał pod uwagę kolejnej zmiany granic.

Już w godzinę po komunikacie o zgonie Stalina w świetlicy Państwowego Ośrodka Maszynowego w Ustrzykach Dolnych dekorowano główną ścianę. Dwóch robotników z drabiny zawieszało portret i opasywało go kirem. Operacji przyglądał się trzeci. Popalał papierosa, patrzył spod oka i dyrygował, czy portret przesunąć bardziej w prawo, czy w lewo. W pewnym momencie pozwolił sobie na uwagę, którą skrętnie przekazali później bezpiece koleddy robotnicy.

W notatce, określonej jako ściśle tajna i sporządzonej w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Ustrzykach Dolnych dla szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, zapisano: „W związku ze śmiercią tow. Stalina poniżej zapodaję wypowiedzi tutejszej ludności, które to uzyskałem po przez agenturę oraz kontaktu poufne w dniu 6 i 7 marca 1953 r. Informator ps. ‘Czajka’ (...) zapodaje, że w czasie kiedy dekorowano budynek P.O.M.-u w portret tow. Stalina w którym to czasie nadszedł ob. Rorot Henryk brygadzysta P.O.M.-u i powiedział, że trzeba zdjąć portrety tow. Bieruta i tow. Rokosowskiego, aby się nie zaraziły i nie poumierali tak jak Stalin, na wypowiedzi te inf. zwrócił uwagę, to wymieniony zapytał się jego od kiedy zrobił się takim demokratą”.

Doniesienie złożył też niejaki „Rewident”: „Zapodaje, że w rozmowie z ob. Musiałem Stanisławem, pracownikiem BP w Ustrzykach [skrót nieznan], który to na temat śmierci tow. Stalina wypowiedział się w ten sposób ‘jedni



## W ruinie i z ruin

Pod zawieszoną na stemplach kopułą uwijają się robotnicy. Słysząc stukot młotków i jęk motorowej piły. Na dole, na pokrytej pyłem i trocinami posadzce, na którą przez częściowo zakryte folią okna pada blade światło jesienno słońca, stoi postawny mężczyzna. Rozgląda się z ciekawością po wnętrzu, dotyka kamiennej ściany, wreszcie – jakby mu było gorąco – jednym zdecydowanym ruchem rozpinając zamek czarnej skórzanej kurtki. A w murach panuje przenikliwy chłód.

– Nazywam się Mychajło Szpak – mówi wąsaty przybysz i wyciąga rękę na przywitanie. – Urodziłem się w Stężnicy w 1934 roku, ochrzczono mnie w baligrodzkiej cerkwi, a lata później, w 1946, wywieziono na sowiecką Ukrainę.

Przyjechał z Sambora. To raptem osiemdziesiąt kilometrów, ale po drodze musiał odstać parę godzin w kolejce na przejściu granicznym, by potem przez Ustrzyki Dolne, z przesiadką w Lesku, dotrzeć pokaesem do Baligrodu.

Siedemdziesięcioczworoletni Ukrainiec zaplanował odwiedzić 5 listopada 2008 roku. Nie wiedział, że akurat na ten dzień wyznaczono kolejne spotkanie Stowarzyszenia Ratowania Cerkwi w Baligrodzie. Lepiej nie mogło się złożyć. Na własne oczy mógł zobaczyć, jak postępują prace i z zakamarków pamięci wydobyć szczegóły, które mogły pomóc w możliwie wiernej renowacji świątyni. To już czwarty rok, jak ludzie ze Stowarzyszenia podnoszą z ruin najcenniejszy zabytek w dawnym miasteczku, pokonując bariery techniczne związane z ogromem zniszczeń. Choć jeszcze większe tkwią w ludzkich sercach – te są trudniejsze do przejścia. I do zrozumienia. Historia nie oszczędziła Baligrodu, zasiała niezgodę między sąsiadami, a ta doprowadziła do rozlewu krwi. Po latach miejscowa cerkiew wciąż kojarzy się dwuznacznie.



Cerkiew greckokatolicka w Baligródzie w trakcie remontu  
▪ fot. Krzysztof Potaczała



Ekipa remontowa podczas prac na poddaszu świątyni ▪ fot. Krzysztof Potaczała



Jarosław Tomaszewski, warszawski architekt i prezes Stowarzyszenia, przestrzega, by pisząc o dawnych relacjach polsko-ukraińskich, nie rozszarpywać trudno gojących się ran. Ale czy da się opowiedzieć o miejscowej cerkwi i dziele jej odbudowy bez przypomnienia również niechlubnej przeszłości?

Wymurowano ją w 1829 roku – z rzeźnego kamienia wybranego z płynącej poniżej Hoczewki. Materiał uzupełniał kamień przywożony furami z pobliskiego Bystrego, gdzie potężna skalna ściana nie żałowała budulca. Murarze i ich pomocnicy przygotowywali zaprawę z wapna, krowich odchodów i kurzych jaj. Łączenie kolejnych warstw murów niezwykłą mieszanką sprawiało, że spoiny były odporne na deszcz, a poszczególne kamienie silnie ze sobą zespolone.

Kto wówczas przypuszczał, że górująca w centrum miasteczka świątynia stanie się w przyszłości zarzewiem konfliktu i na lata podzieli miejscową społeczność? Tym bardziej, że nie sami Ukraińcy budowali greckokatolicki przybytek, ale też Polacy wspierali ich w tym dziele. Zdarzało się tak również w innych miejscowościach: w Lutowiskach kościół pomagali Polakom wznosić



Cerkiew w Baligrodzie już z nową kopułą  
■ fot. Krzysztof Potaczała

Ukraińcy, gdzie indziej niektóre polskie rodziny dokładały się do budowy wiejskich cerkiewek, do których – z braku w pobliżu świątyni rzymskokatolickiej – sami chodzili. – Tam, gdzie żyły społeczności etnicznie mieszane, tam musiano zawiązywać sojusze i zawierać kompromisy – mówi Szpak.

Ale nieprawdziwa jest powtarzana powszechnie opinia, jakoby te społeczności żyły obok siebie w pełnej zgodzie. Napięcia, wzajemne żale i pretensje były codziennością bieszczadzkich wsi i miast. Wynikały z różnic kulturowych, religijnych, a także ze statusu materialnego. – Oraz z polityki władz Drugiej Rzeczypospolitej – dodają badacze tamtego czasu – które po śmierci Józefa Piłsudskiego okazywały coraz większą niechęć ukraińskiej mniejszości, a wobec jej nauczycieli, działaczy kulturalnych i polityków wzmogły represje. Ówczesna prasa pełna jest doniesień o tym, że trzeba ukrócić zapędy Ukraińców o wymarzonej przez nich autonomii.

To wtedy, w końcu lat trzydziestych XX wieku, dojrzał ukraiński nacjonalizm. – Byłem smarkaczem, ale słyszałem, jak w domu mówiono, że Ukraińcy zaczynają podnosić głowy i zwracać się przeciwko polskim sąsiadom – pamięta sędziwy mieszkaniec Baligrodu, który mimo upływu czasu woli nie zdradzać imienia i nazwiska.

Po wybuchu wojny atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej. – Któregoś dnia ojciec wrócił z pola i długo nie mógł się uspokoić – ciągnie swoje wspomnienie starzec. – Ktoś mu powiedział, że w niedzielę na mszy tamtejszy ksiądz unicki podburzał swoich do rozliczenia się z Lachami. Co miał na myśli, nie wiem. Bo słowo „rozliczenie” mogło znaczyć wszystko.

Czy duchowny mógł aż tak się zapędzić? Mógł, ale nikt też dzisiaj nie potwierdzi, że takie słowa w istocie z ambony padły. Mimo to w Baligrodzie przez dziesięciolecia powtarzano, że w cerkwi szerzono nienawiść do Polaków, która pod koniec wojny była już tak jawna, iż zdarzały się napady i pobicia.

– Zapanował strach, a ludzie zamykali się w domach i czuwali. – Józef Kopczyński kiwa smutno siwą głową, bo sam z rodzeństwem tak robił. – Już za okupacji Ukraińcy mogli więcej, Niemcy im pozwalali, kiedy zaś później w Bieszczady dotarły sotnie UPA, całkiem opętało ich szaleństwo. Ukraińskie dzieci rzucały kamieniami w polskie, a dorośli wrzeszczeli, że wkrótce Baligród będzie z tryzubem w herbie.

4 sierpnia 1944 roku sowieccy partyzanci zaatakowali Stężnicę. Od kul zginęło kilku tutejszych Ukraińców. Mychajło Szpak był wtedy we wsi i pamięta, że zabito ich za nic, choć zaraz komuniści ogłosili, że ofiarami byli banderowcy. To z tego powodu – jak twierdzi Szpak, ale także część ukraińskich



historyków – upowcy zaplanowali odwet. Dlaczego na Polakach? Bo podejrzewali ich o sprzyjanie „bolszewikom” i posiadanie broni, choć ta wersja nie znajduje uzasadnienia. Nie ma dowodów, że ktokolwiek z mieszkańców Baligrodu brał udział w zabijaniu Ukraińców w Stężnicy.

Tymczasem lista proskrypcyjna Polaków przeznaczonych przez nacjonalistów ukraińskich do likwidacji była ustalona wcześniej. Połączone sotnie pod dowództwem „Burlaki” weszły do Baligrodu w niedzielę 6 sierpnia 1944 roku. Pierwsze strzały padły obok kościoła – tuż po porannej mszy. Przed świątynią, która dzisiaj służy za kaplicę pogrzebową, życie straciło kilkunastu mężczyzn. Resztę zastrzelono w domach albo na podwórzach; oszczędzono kobiety i dzieci. Tego dnia zginęło czterdzieści jeden osób.

Mimo upływu lat nie wszyscy gotowi są wybaczyć. Po ludzku to zrozumiałe. Ktoś stracił ojca, syna albo męża. Niezrozumiałe natomiast, że winą obarcza się Ukraińców jako nację. Niewielu pamięta, że wśród ukraińskich mieszkańców miasteczka znaleźli się wówczas tacy, którzy mieli odwagę ukryć polskich sąsiadów. Gdyby nie oni, ofiar byłoby więcej.

– Sam byłem tym, którego schowała na strychu stodoły ukraińska sąsiadka – potwierdza Józef Kopczyński – i zapewne dzięki niej przeżyłem. Ukraińcy ocalili też od pewnej śmierci adwokata Stanisława Śmietanę.

Co najmniej pięciu mężczyzn przeżyło dzięki... banderowcom. Nie wszyscy z nich chcieli zabijać, strzelali więc w powietrze zamiast w głowę albo w plecy. Zwłaszcza ci, którzy chodzili szukać Polaków po domach i nie było przy nich dowódcy. „Burlaka” na taką niesubordynację by nie pozwolił. Znany jest również przypadek Polaka, który rzucił się do ucieczki sprzed kościoła w kierunku rzeki. Pobiegło za nim dwóch upowców; pruli z karabinów, ale tak, żeby nie trafić...

Są też dowody, że to duchowny z baligrodzkiej cerkwi uratował od śmierci księdza Józefa Miezińskiego z tutejszej parafii rzymskokatolickiej oraz stanął w obronie cywilnych Polaków, zasłaniając własnym ciałem drzwi do kościoła, na które napierali upowcy. Tę wersję potwierdza Artur Brożyniak z rzeszowskiego oddziału IPN, badacz tematu „krwawej niedzieli” w Baligrodzie. Jednocześnie tłumaczy, że wersja o rzekomym odwiecie banderowców za pacyfikację Stężnicy nie wydaje się prawdziwa. „Wspomnianej akcji [4 sierpnia 1944] dokonali sowieccy partyzanci za zastrzelenie partyzanta przez banderowca w tej wiosce. W oddziale tym nie służyli Polacy. Należy jednak domniemywać, że kierownictwo OUN wykorzystało propagandowo zdarzenie ze Stężnicy, aby wzbudzić chęć odwetu u członków UPA i pozbawić

\*\*\*

„Tragiczne skutki polsko-ukraińskiego konfliktu narodowościowego, jak też wysiedlenia rdzennych mieszkańców Bieszczad w największym stopniu dotknęły greckokatolickie cerkwie (...). Już w trakcie akcji przesiedleńczej ludności ukraińskiej na Wschód (na mocy układów z 9 i 22 września 1944 r.) doszło do pierwszych przypadków plądrowania i bezczeszczenia cerkwi. Haniebnego procederu dopuszczali się głównie żołnierze i pospolici złodzieje, korzystający z powstałego zamieszania i pośpiechu” – czytamy w opracowaniu Olgi Kurzynogi.

Decyzją z 8 października 1947 roku, a więc już po zakończeniu akcji „Wisła”, wojewoda rzeszowski nakazał ustanowić przy wszystkich byłych parafiach greckokatolickich kuratora, który miał czuwać nad pozostawionym mieniem. Wojewoda zarządził, aby każdemu przydzielonemu obiektowi – na przykład dla spółdzielni rolniczej, PGR-u czy gromady – wystawić protokół zdawczo-odbiorczy. W praktyce zabezpieczanie odbywało się „po łebkach”, bo mało komu zależało na ratowaniu cerkiewnego majątku. Od razu pojawili się też uczynni, którzy pod płaszczykiem niesienia pomocy chcieli się wzbogacić na handlu grabionymi przedmiotami kultu religijnego.

Wyposażenie cerkwi w Baligrodzie i Hoczwi zabrano do kościoła garnizonowego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Warszawie. „Kradzież umotywowano tym, że żołnierze tej formacji, którzy ofiarnie przelewali krew, aby zaprowadzić ład i porządek w województwie rzeszowskim, mogą zabrać wspomniane przedmioty jako trofeum wojenne” – tłumaczy badaczka z IPN-u.

Przez rok w baligrodzkim zabytku składowano sprzęty liturgiczne przywożone tu z innych opustoszałych parafii i wysiedlonych wsi. W sierpniu 1947 roku jej wnętrze wypełniło się wyposażeniem świątyń z Roztok Dolnych, Kielczawy i Cisowca. Miały tu też trafić podobne przedmioty ze Stężnicy, Jabłonek, Kołonic, Rabego i Huczwic, ale po załadowaniu ich na ciężarówkę żołnierze KBW wywieźli całość w nieznanym kierunku. Takich przypadków było więcej.

Równie trudny czas dla opuszczonych cerkwi greckokatolickich nastał po 1968 roku. Kryzys polityczny w kraju spowodował, że państwo polskie ponownie rozpętało walkę z poukraińskim dziedzictwem kulturalnym.

Nikt nie zdoła wyliczyć strat.

## Jeziro bezimiennych kości

Nad Zalewem Solińskim znaleziono kości. Piszczele i fragmenty czaszek leżały na piachu kilka metrów od brzegu. Sensacja obiegała lokalne media, choć jezioro nie pierwszy raz oddało ludzkie szczątki.

„Solina” – jak potocznie turyści nazywają potężny zbiornik wodny – powstała w 1968 roku, po ośmiu latach budowy zapory i elektrowni. Sztuczne jezioro utworzyły wezbrane wody Sanu i Solinki, zalewając wysiedlone wcześniej wioski i przysiółki. Chwilę przed tym miejscowi zadawali sobie pytanie, czy ekipy eksperckie dokładnie przeprowadzą ekshumacje na cmentarzach: odsłonią liczne groby, a wybrane z nich kości umieszczą w przygotowanych drewnianych skrzyniach bądź w foliowych workach i przeniosą w bezpieczne miejsce. Bo nawet jeśli większość zmarłych pochowano kiedyś w trumnach, to po latach zmieniły się w próchno.

– Cmentarze zostawiono na koniec. – Tadeusz Podkalicki rodem z Soliny zapala papierosa, mruży oczy i sięga pamięcią do tamtych dni. – Odkopywano groby, ale z pewnością wielu z nich nie zlokalizowano. Nie sposób było natrafić na wszystkich nieboszczyków pochowanych w okolicy, zmarłych przed półwieczem i wcześniej, których mogiły dawno zatarł czas. Istniała obawa, że kiedyś woda zacznie wymywać ludzkie szczątki.

Przeważnie były to cmentarze greckokatolickie, bo do końca drugiej wojny światowej i operacji „Wisła” Ukraińcy stanowili na tych terenach większość. Niemal w każdej wsi stała cerkiew, a przy cerkwiach grzebano zmarłych wiernych. Z czasem niektóre cmentarze uległy dewastacji, inne zachowały się w dobrym stanie, choć od późnych lat czterdziestych nieboszczyków grzebano już tylko na cmentarzach rzymskokatolickich i komunalnych. Te istniejące w wioskach przeznaczonych do wysiedlenia i zalania musiano zlikwidować.

Świadkiem ekshumacji mogił był między innymi Henryk Victorini, który na początku lat sześćdziesiątych osiadł w opustoszałym Sokolem. Zamieszkał w zrujnowanym pałacyku, będącym do wojny pensjonatem dla turystów.

– Dróg prawie nie było, więc przemieszczałem się w terenie wyłącznie konno – wspomina. – Pewnego dnia jechałem przez Teleśnicę Sanną. Zobaczyłem, jak robotnicy szli przez cmentarz i co chwilę wbijali w grunt długie metalowe pręty. Jeśli usłyszeli głuchy odgłos, zaczynali kopać. Po pewnym czasie wyciągali na wierzch zbutwiałą trumnę i zbierali rozsypane kości.



Pałacyk w Sokolem, dawny pensjonat turystyczny,  
lata sześćdziesiąte XX wieku ■ archiwum Kazimierza Orłosa

Najłatwiej mieli tam, gdzie istniały nagrobki, ale i tak nie zdołali wywieźć z cmentarza wszystkich szczątków – wiele leżało w ziemi bez trumien, a nad nimi nie było żadnych kopczyków.

Victoriniemu najbardziej utkwił w pamięci obraz, który ujrzał, gdy po tygodniu ponownie przejeżdżał konno przez Sanną. – Wśród owocowych sadów dostrzegłem otwarte trumny. Były po brzegi wypełnione jabłkami i gruszkami. Zastanawiałem się, czy ludzie pracujący przy ekshumacjach mieli jakiegokolwiek opory, by potraktować trumny jak skrzynki do przewiezienia towaru.

Wraz z rozpoczęciem budowy największej w Polsce zapory wodnej, w Solinie powstaje osiedle dla tysiąca pracowników. Z pocztą, sklepem, stołówką, apteką, pralnią – ze wszystkim, co niezbędne do codziennego funkcjonowania.

Zalew ma połączyć Sokole małym łykiem, pozostawiając spłacheć ziemi wraz z pałacem, fragmentem parku i cmentarzem. Ale geodeci mylą się w obliczeniach, a niewielki cmentarz jest później regularnie podtapiany. Okazuje się też, że nie istnieje na mapach, więc nie podlega ekshumacji. Z czasem zupełnie znika pod wodą.

O sprawie nikt głośno nie mówił. Reżimowa prasa nawet się nie zająknęła nad zalegającymi w akwenu szczątkami. Kiedy ktoś natrafiał przypadkiem



Henryk Victorini, gospodarz w Sokolem ■ archiwum Darii Victorini

„Książka została podzielona na dwa bloki tematyczne. Pierwszy ukazuje peerelowską codzienność w Bieszczadach – głównie w aspekcie społeczno-politycznym, ale i z niemalą domieszką przygody. Drugi przedstawia szeroko pojęty obszar sacrum i profanum: grabieże i burzenie cerkwi, próby ich ratowania, odkrywanie po dziesiątkach lat zakopanych dzwonów, a także przypadki bezczeszczenia unickich cmentarzy czy też odsłanianych przypadkiem – jak w rejonie Zalewu Solińskiego – ludzkich szczątków.

Nie brak w prezentowanych tekstach pewnej dozy poezji i tajemniczości. Nie brak też trudnych doświadczeń konkretnych osób, w tym skomplikowanych relacji polsko-ukraińskich. Autor podaje przykłady porażającej niepamięci, ale też wyrazistej indywidualnej pamięci, dzięki której udało się ocalić od zapomnienia ważne historycznie wydarzenia. Podąża śladami ludzi i miejsc, by głębiej poznać interesujące go zagadnienia, lepiej je zrozumieć i spróbować odpowiedzieć na nurtujące wciąż pytania: dlaczego, po co, z jakich przyczyn, na czyje zlecenie?

Bieszczady wciąż zmuszają do refleksji.”

**Krzysztof Potaczała** – reporter, dziennikarz. Badacz pogranicza polsko-ukraińskiego i okresu Polski Ludowej. Laureat nagród za reportaże prasowe i książkowe, stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatury. Mieszka w Ustrzykach Dolnych.

Autor książek: *KSU. Rejestracja buntu* (2010), *Bieszczady w PRL-u* (3 tomy, 2012–2015), *To nie jest miejsce do życia. Stalinowskie wysiedlenia znad Bugu i z Bieszczadów* (2017), *Bieszczady w PRL-u. Wybrane reportaże* (2018), *Zostały tylko kamienie. Akcja „Wisła”: wygnanie i powroty* (2019), *Świerczewski. Śmierć i kult bożyszczka komunizmu* (2021), *Tak blisko, tak daleko. Bieszczady po drugiej stronie granicy* (2022).